

ADAM M. SKAŁKOWSKI

STAN BADAŃ NAD ŻYCIEM I DZIAŁALNOŚCIĄ KAROLA MARCINKOWSKIEGO

Bibliografia Marcinkowskiego (jak wynika z zestawienia prof. A. Wojtkowskiego) jest bogata, a wciąż jeszcze narasta przez nowe opracowania jego życiorysu czy ogłaszanie źródłowych przyczynków. Te dotyczą często już tylko podrzędnych szczegółów. W tym wysiłku badawczym, który wypływa bądź z prawie religijnego kultu naszego wielkiego obywatela, bądź z uznania doniosłej jego roli dziejowej, wyodrębnić należy piszących o nim na podstawie własnych wspomnień i obserwacji społecznych — od następnych, zdanych już tylko na wyszukiwanie dokumentów i ich interpretację. Są i tacy, co zajmują stanowisko pośrednie, jak Artur Kronthal, który grzebał w archiwach, ale przez ojca, a zwłaszcza dziadka, sięgał także wspomnieniami w czasy Marcinkowskiego. Wreszcie inni zajmowali się jedynie popularyzowaniem wiadomości o jego życiu i zasługach, rzucając jednak — dzięki intuicji — niekiedy myśli rozjaśniające mroki, które przeniknąć trudno uczonemu bez poetyckiego polotu. Oni też byli twórcami legendy, często najbliższej prawdy.

Już nad trumną Marcinkowskiego regens poznańskiego seminarium duchownego, późniejszy biskup Janiszewski smutek i żal społeczeństwa przyrównał do tego, jaki ogarnął apostołów po odejściu Zbawiciela. Podobnie społecznie wyraził się Zygmunt Krasiński, a później dr Teofil Matecki wprost powie: „Marcinkowski był Chrystusem naszego czasu”. — Wspaniałe to, sugestywne określenie przetrwało, natomiast zapomniano o ważnych wiadomościach w nekrologach, jak w leszczyńskich *Provinzialblätter Günthera*, a czerpano tylko z przekazów Jagielskiego, który ogłosił już w listopadzie 1846 r. wspomnienie o Marcinkowskim w *Medicinische-Vereins-Zeitung* i jeszcze w tymże roku zwięzły, ale bardzo cenny, rzeczowy życiorys. Jest on oparty na wspomnieniach kolegi ze studiów uniwersyteckich i współpracownika w zawodzie, a także zawiera parę dokumentów. Z tych lat najwcześniejszych trzeba zwrócić uwagę na osąd w *Gazecie Polskiej*

zr. 1848 (wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pióra ówczesnego redaktora Marcelego Mottego): „Życie publiczne jest treścią całego jego życia; życia prywatnego właściwie Marcinkowski nie miał. Kto żyje prywatnie, żyje dla siebie — a dla siebie Marcinkowski nie żył. Wolen od wszelkich związków ciasnotą swoją krępujących działalność, oddał wszystkie swoje siły fizyczne, wszystkie zasoby swego umysłu, całą energią niepokalanego charakteru na korzyść ludzkości, na korzyść narodu. Ludzkości służył jako lekarz, narodowi jako obywatel“.

To stało się kanonem nie tylko w tradycji, ale w całej literaturze poświęconej Marcinkowskiemu, w literaturze naukowej i oczywiście popularnej i pięknej. Stąd brał zapewne wzór Żeromski dla postaci doktora Judyma z „Ludzi bezdomnych“. Lecz społecznie tak jednostronnemu ujęciu przeciwstawił się w pewnej mierze głośny później publicysta kierunku zachowawczego Maurycy Mann. Uczynił to wszakże nieudolnie, obierając formę artystyczną. Jego „dramat w dwóch dobach rzeczywistego życia“ pt. „Sztuka i miłość“ wydrwił Julian Klaczko w „feletonie dla feletonu“ *Gazety Polskiej* z 14 kwietnia 1849 r., który przypomniany został w wydaniu jego pism z tego okresu przez Bolesława Erzepkiego. Klaczko skrytykował „dramatyzowany monolog pana Manna“, który obrazuje „monomanią“ doktora Karola „ukrywania swoich uczuć“ dla Kassylidy, przez co nie uszanował „małego zagonu serca“ Marcinkowskiego i Emilii Szanieckiej. Także wstępne i końcowe objaśnienia Manna potępił Klaczko, bo w nich (zdaniem jego) „już nie bohater romansu, ale epepei, nie kochanek, ale żołnierz i patriota w fajerwerkowym występuje transparencie“. (W utworze Manna doktor Karol bezpośrednio po ocuceniu z letargu Kassylidy (po dobie jej pozornej śmierci) spieszy do Warszawy na odgłos powstania listopadowego).

Przed potęgą talentu polemicznego i autorytetu Klaczki ugięła się opinia. Zresztą uważano powszechnie, że wysokim nietaktem było publicznie (choćby z uwielbieniem) przedstawiać życie prywatne niedawno zgasłego bohatera narodowego, którego legenda chciała przekazać następnym pokoleniom wolnym od wszelkiej słabości ludzkiej czy przywary. Nadomiar przecież inne osoby dramatu żyły i miały żyć jeszcze długie lat dziesiątki, jak otoczona czcią powszechną heroina dramatu. Tylko Ludwik Gąsiorowski w trzecim tomie swego „Zbioru wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce“ (wydanym w r. 1854) uznał, że „ostatnie lata życia dra Marcinkowskiego oddał wiernie M. Mann“.

Wszakże nie podniósł donioślejszych wartości pomienionego „dramatu“ i przydanych do niego uwag, które należycie uwzględnić wystrzegali się i następni biografowie Marcinkowskiego. A przecież jest tam poruszony problem kapitalnego znaczenia. Treścią jest „walka między wolą a sercem stoczoną“, chociaż Marcinkowski „miłości zdawał się nie pojmować“. I nie tylko mówił Mann o miłości tajonej dla Szczanieckiej, ale pozwalał się domyślać jej w stosunku niby do córki, a właściwie do żony właściciela apteki pod Lwem, Kolskiego, z którą w rzeczywistości łączyło „doktora Karola“ życie od młodości aż do śmierci, w ciągu lat 23, licząc od jego powrotu ze studiów uniwersyteckich; znał się z nią niewątpliwie i wcześniej, a oddalał się tylko, gdy spieszył pod sztandary powstańcze, przebywał na emigracji lub w więzieniu; w jej domu mieszkał i u niej się stawał.

Jedynie Motty w „Przechadzkach“ napomknął parę razy o niej i o jej pięknej i prawie równie urodzivej córce, zamężnej za Łakomickim, serdecznym druhem Marcinkowskiego. A zaczął spisywać swoje tak cenne wspomnienia zapewne pod wpływem żądań, jakie dr Władysław Łebiński wysunął na publicznym posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu w roku 1871 w odczycie: „O ideach, historycznym stanowisku i przyszłym życiorysie Karola Marcinkowskiego“.

Tym żądaniom po dziś dzień w pełni nie stało się zadość, chociaż nie ćwierć wieku, ale cały upłynął, który „powinien wystarczyć na ukolysanie wszelkich drażliwości“. Wszakże jak dotąd nikt jeszcze z większą od Manna szczerością nie określił pewnych cech charakteru i umysłowości Marcinkowskiego, które pod schyłek życia zrażały mu wielu, a których wolano w życiorysach nie wspominać mając na uwadze zmiany, jakie się w naszej społeczności dokonały zwłaszcza od czasu kulturkampfu.

Wysztalcenie na podstawie umiejętności przyrodniczych „stało na przeszkodzie ku nabyciu tego, co przez wychowanie było zaniembanem — uczuć religijnych“. Stąd pod schyłek życia Marcinkowski nie mając tej podpory tym boleśniej cierpiał, gdy był osamotniony na skutek zaznaczającego się podówczas w społeczeństwie naszym przerostu radykalizmu niepodległościowego, do czego przyczyniła się mimo „dobroci i prostoty“ Marcinkowskiego „porywczosć i wyniosłość“, nawet „gburowatość“, zwłaszcza że „stan zdrowia drażliwym i gwałtownym go czynił“.

Jest bardzo prawdopodobne, że usuwano niektóre dokumenty działalności i życia Marcinkowskiego w mniemaniu, jakoby uwła-

czały jego pamięci. Na to wskazywać zdaje się następująca uwaga Gąsiorowskiego: „Jeśli egzekutorowie testamentu dra Marcinkowskiego zniszczyli jego mowę niemiecką, którą miał roku 1845 na posiedzeniu reprezentantów miasta, popełnili wielki grzech: bo to była mowa, przez którą odniósł najświetniejsze zwycięstwo nad wszystkimi przeciwnikami elementu polskiego a nawet nad samym owego czasu potężnym prezesem policji Minutolim tej mowie przytomnym, który potem oświadczył, iż jeśli jeszcze raz coś takiego by zaszło, już więcej jego noga na posiedzeniach miejskich nie postoji“.

Inną wskazówką uprawniającą do podobnych przypuszczeń jest okoliczność, że spadkobiercy Emilii Szczanieckiej wzbraniali się użyć listów, które pisał do niej Marcinkowski, a które widocznie uważali za drażliwe. Pozwolono wprawdzie śp. Ludwikowi Posadzemu zapoznać się z ich treścią, wszakże bez prawa ich ogłoszenia i na nie się powoływania. Te zastrzeżenia zapewne pochodziły stąd, że niektóre słowa, potoczne ongiś, zmieniły w ciągu wieku swe znaczenie i dzisiaj w innym są używane. Np. wyraz „kochanek“ w dramacie Manna pokrywa się zupełnie z wyrazem „przyjaciół“ i ma być jedynie bardziej odpowiednim w języku poetycznym ze względu na w jego brzmieniu pewien odcień serdeczności.

Bądź co bądź można się dopatrzeć tendencji (jakże zresztą zrozumiałej i szanownej) ograniczenia badań. Stosuje się je przecież i w archiwach publicznych oznaczając w regulaminach odstęp czasu, po którego upływie dopiero akta personalne zostają udostępnione.

W dwadzieścia lat po zgonie Marcinkowskiego, gdy o jego życiu i zasługach mówił Hipolit Cegielski, jeden z ostatnich towarzyszy pracy, z okazji obchodu ćwierćwiecza Towarzystwa Pomocy Naukowej, scharakteryzował go jako „stoiczną postać“ w roli lekarza, żołnierza i obywatela, ale i „surowego względem siebie chrześcijanina“, jako „człowieka powołania i namaszczenia prawdziwie chrześcijańskiego“. W tym życiorysie rozszerzona została nieco podstawa źródłowa, ale zachował on wartość głównie dzięki wspomnieniom, które Cegielski przydał do tego, co już powiedział był Jagielski, i dzięki oprawie literackiej. Inni z pokolenia Marcinkowskiego podali o nim szczegóły nie zawsze ściśle, jak Kaczkowski w swoich „Wspomnieniach“, które wypadło kontrolować i prostować już na podstawie dokumentów.

Czynili to i czynią historycy bądź zawodowi, bądź raczej przygodni, zwłaszcza lekarze, istotnie szczególnie powołani biogra-

fowie Marcinkowskiego. Z nich z kolei, i bodaj z zasługi, pierwsze miejsce należy się Ignacemu Zielewiczowi, który przeprowadził sumienne i rozległe studia tak w kraju jak i Berlinie. Owocem ich jest udokumentowany życiorys Marcinkowskiego (ogłoszony w r. 1891), do którego przydał (w r. 1908) „Nowe przyczynki... na źródłach archiwalnych osnute“.

Następnie Andrzej Wojtkowski, zwłaszcza w Kronice m. Poznania, opublikował bardzo wiele materiałów. W „zarysie stu-letnich dziejów“ Bazaru Poznańskiego (wydanym w r. 1938) omówiono działalność Marcinkowskiego w tym związku i przytoczono szczerzy spuścizny jego rękopiśmiennej.

Także moja monografia o Józefie Szuldrzyńskim, oparta o akta archiwum rodzinnego w Lubasz, rozszerzyła nieco możliwości głębszych badań nad dołą Marcinkowskiego.

O nim samym dwa studia szczególną zwróciły uwagę. Niemieckie (z r. 1925) Artura Kronthala (eine Schilderung seines Lebens, seines Wirkens und seiner Zeit), cenne może najwięcej przez ilustracje i tradycję utrzymywaną w rodzinie autora z pokolenia w pokolenie. Polskie zaś — to szeroko zakrojone przez profesora Wrzoska a drukowane w jego „Archiwum historii i filozofii medycyny“. Rozdziały tej pracy są jakby osobnymi monografiami opartymi na nowych materiałach źródłowych. Publikacja uległa zawieszeniu na skutek wybuchu drugiej wojny światowej. Tuż przed nią Józef Pawłowczak zdołał jeszcze ogłosić szczegółowe dane o nauce i nauczycielach Marcinkowskiego w szkole powszechnej w Kronice m. Poznania. Redaktor „Kroniki“, Zygmunt Zalewski, do końca nie ustawał w zabiegach, aby na łamach swego pisma gromadzić wszystkie takie materiały, nieznane lub już mało dostępne, jak, z wydawnictwa emigracyjnego „Terazniejszość i Przyszłość“ z r. 1843 tekst „rozmowy Orła Białego z Mieczysławem i Bolesławem w Złotej Kaplicy katedry poznańskiej z 1 na 2 lutego“, w której jest ciekawa współczesna charakterystyka Marcinkowskiego.

O jego powinowactwie ideologicznym z wolnomularstwem można wnioskować ze studium samego Zalewskiego, chociaż tej tezy nie wysunął.

Jak przeniesienie zwłok Marcinkowskiego do sarkofagu między groby zasłużonych na „Skałce“ poznańskiej w r. 1923, tak niewątpliwie uroczystości w stulecie jego zgonu obudzą żywszy ruch badawczy, skierowany ku poznaniu życia tego znakomitego Polaka. Osobne zeszyty poświęcają mu różne wydawnictwa, jak „Przegląd Wielkopolski“ i „Nowiny Lekarskie“. Ukazały się nowe

opracowania jego życiorysu, jak dra Witolda Jakóbczyka oraz prof. A. Wrzoska. I niewątpliwie zwrócenie uwagi na nierozwiązane dotąd problemy każe w dalszym ciągu prowadzić badania. Będą one wszakże ogromnie utrudnione na skutek zniszczenia czy też rozproszenia archiwów publicznych a zwłaszcza prywatnych. Jeśli pożar dworu w Pakosławiu uniemożliwił dokładniejsze poznanie życia Emilii Szczanieckiej, a także jej stosunku do Marcinkowskiego, to spustoszenie siedzib ziemiańskich za dni naszych i zatarata ich pamiątek rodzinnych jest klęską, która ciężko zaważy na naszych studiach historycznych, zwłaszcza nad dobą nowożytną i porozbiorową, do której źródła tam były szczególnie obfite.

Wszakże właśnie tegoroczne obchody ku czci Marcinkowskiego dowodzą, że jeszcze mimo wszystko: nil desperandum. Oto chociaż pod tak fatalnymi auspicjami urządzona w Muzeum Wielkopolskim wystawa pozostałych po nim pamiątek wydobyła jednakże z ukrycia bezcenne jego popiersie dłuta Oleszczyńskiego. Dr Grot ogłosił ocalone w swoich odpisach bardzo ciekawe materiały (które Hipolit Cegielski zebrał był przed laty osiemdziesięciu) w „Przeglądzie Wielkopolskim“ i w czerwcowym zeszytzie „Kroniki m. Poznania“, która ma przynieść dalsze jeszcze źródłowe przyczynki. A książka dra Jakóbczyka daje nie tylko syntezę dotychczasowych badań, ale posuwa je znacznie, przedstawiając działalność Marcinkowskiego w ścisłym związku z „pracami organicznymi“ jego pokolenia. Prof. Wrzosek mimo poniesionych w swych zbiorach najdotkliwszych strat nie zniechęca się i nie ustaje w pracy. Nie przerywa się ciągłość w twórczych usiłowaniach następujących po sobie pokoleń. Więc mimo wszystko: Nil desperandum.